

9. Maskotka

Na pozór nic się nie zmieniło. Misinka nadal wychodziła rano z domu, by do późnego popołudnia podejmować błyskawiczne decyzje o sprzedaży lub kupnie obligacji i akcji, a Krzysztof kontynuował nauczanie studentów na przemian w Warszawie i Gdańsku. W niedzielne wieczory Misinka wciąż przyjeżdżała na Dworzec Wschodni, by odebrać Krzysztofa z gdyńskiego ekspresu, a w tygodniu starali się wygospodarować przynajmniej dwa wieczory, podczas których dzielili butelkę albo dwie białego wina. A przecież równocześnie wszystko było inaczej. Zdarzenie z noworocznego poranka w obojgu zostawiło cień, sprawiło, że wiele słów, jakie wypowiadali teraz, odnosiło się jakoś do tych, które padły wtedy, a przez to nabierało aluzyjnych lub podwójnych znaczeń. Wtedy, po godzinie czy dwóch, otworzywszy wreszcie drzwi sypialni, Misinka spojrzała na Krzysztofa zaczerwienionymi oczyma – a był w nich nie tylko wyrzut, ale i nieukrywany błysk złości – i powiedziała: „Oświadczyłam ci się. Całkiem na serio ci się oświadczyłam. A ty odpowiedziałeś

mi idiotyczną rymowanką. Możesz być pewien, że drugi raz takiej propozycji ode mnie nie usłyszysz!”. Wtedy, wysłuchawszy tych słów, Krzysztof nie bardzo umiał się wytłumaczyć – strasznie trudno jest wyjaśnić kobiecie pragnącej małżeństwa, dlaczego to nie jest najlepszy pomysł. A teraz Misinka rzeczywiście nie ponawiała oświadczeń, ale bardzo często jej słowa bezpośrednio i pośrednio zahaczały o noworoczną reakcję Krzysztofa. Z kolei Krzysztof poukładał sobie w głowie niezliczone argumenty i mnóstwo wypowiedianych przezeń słów tak naprawdę stanowiło ich zawoalowany przekaz. Misinka mówiła: „Właściwie nie powinieś mnie już nazywać Misinką, tylko Maskotką. Wiesz, co to jest maskotka? To taka mała zabawka, którą miło mieć przy sobie. *Nice to have*. Ale jak się gdzieś zawieruszy, to przecież nie ma powodu do rozpacz. Przecież nigdy nie traktowało się jej zbyt poważnie”. Krzysztof mówił: „Za dziesięć lat będziesz dopiero co po czterdziestce. W dzisiejszych czasach to jest wiek, w którym kobieta osiąga pełnię rozkwitu, łączy w sobie młodość i dojrzałość. Może będziesz «ryczącą czterdziestką». Za to ja z całą pewnością będę siedemdziesięcioletnim starcem, jak mówiono niegdyś – wzięwszy pod uwagę ogólny stan usztywnienia – krochmalcem. Oczywiście, jeśli w ogóle będę jeszcze na tym świecie. Jeśli tak, to pewnie będę niedołączny, będę zapominać o wiele więcej spraw, niż zapominam dzisiaj, i o wiele częściej będę powtarzać te same historie. Przecież ktoś taki u boku pełnej życia kobiety musiałby być dla niej zupełnym koszmarem”. Misinka mówiła: „Przed nikim nie przyznałeś się do mojego istnienia, prawda? Ani

przed mamą, ani przed byłą żoną, ani przed dziećmi. Przed nikim! Przecież twoje dzieci są dorosłe! Twoja córka jest moją rówieśniczką! Myślisz, że nie potrafi zrozumieć, iż ojciec może mieć jakieś własne życie? Rozmawiałam z dziewczynami, które mają ojców w twoim wieku. Wszystkie mówią, że potrafiłyby zaakceptować kogoś nowego w życiu taty. Gdybyś chciał dowieść, że traktujesz mnie poważnie, to powiedziałbyś o mnie przynajmniej swoim dzieciom”. Krzysztof mówił: „Ojciec nie jest od tego, by obarczać dzieci swoimi sprawami. Nawet jeśli małżeństwo rodziców zakończyło się kompletnym fiaskiem, ojciec jest po to, by w miarę możliwości gwarantować dzieciom poczucie bezpieczeństwa, pomagać, kiedy to potrzebne, dawać im pieniądze. Podczas rozvodu, w przeciwieństwie do byłej żony, robiłem wszystko, by nie wciągać w tę rozgrywkę dzieci. A teraz też nie widzę powodów, by wtajemniczać je w szczegóły mojego własnego życia”. Misinka mówiła: „Poznałeś wielu moich znajomych. Chodzisz ze mną, gdy kogoś odwiedzam, towarzyszysz mi na imprezach. Dlaczego ja nie znam nikogo z twoich starych znajomych? Chyba się mnie wstydzisz!”. Krzysztof mówił: „Twoje życie towarzyskie jest bez porównania bogatsze od mojego. Ja raczej jestem samotnikiem. W Warszawie znam niezbyt blisko paru ludzi, którzy są jeszcze starsi niż ja i z którymi spotykam się tylko od wielkiego dzwonu. Na Wybrzeżu nie jest wiele lepiej”.

Wszystkie te słowa brały początek z tych kilku wypowiedzianych w noworoczny poranek, ale nigdy nie dotyczyły bezpośrednio tamtej sytuacji. Jak gdyby

oboje nie zachowali jej w pamięci albo upchnęli ją do najgłębszych pamięci zakamarków i obłożyli nienaruszalnymi pieczęciami. Cechą tych słów było i to, że płynęły ku sobie, lecz nie zderzały się, a jedynie mijały się, bardziej były równoległymi monologami niż dialogiem. Nie towarzyszyły im ani podniesione głosy, ani gwałtowne gesty. Nawet w oczach Misinki i Krzysztofa więcej było w tym czasie zadumy i smutku niż gniewnego zachmurzenia.

Raz tylko zdarzyło się Misince odpowiedzieć na słowa Krzysztofa prawdziwym wybuchem. I to też nie od razu. Był jeden z tych wieczorów, gdy Krzysztof wypijał swoje kieliszki wina znacznie szybciej niż ona i jego udział w dwóch opróżnionych butelkach sięgnął pewnie trzech czwartych ich zawartości. I to wino musiało mu rozwiązać język, gdy później, już w łóżku, wdali się w rozmowę o prawdziwej miłości.

– Gdy byłem młody i częściej zadawałem sobie pytanie, na czym polega prawdziwa miłość, najczęściej przychodziła mi na myśl andersenowska mała syrenka – powiedział Krzysztof. – Kiedy jeszcze marzyła o poślubieniu księcia i uzyskaniu nieśmiertelnej duszy, gotowa była na każdą ofiarę. Nie wiem, czy przypominasz sobie szczegóły, ale mnie jako dziecku zapadły w pamięć nieusuwalnie – ten obcięty przez czarownicę język, te ostrza sztyletów wbijające się w stopy przy każdym kroku... Później, kiedy było już widać, że ze ślubu nic nie będzie, zależało jej tylko na przebywaniu w pobliżu ukochanego. A wreszcie miała na względzie wyłącznie jego szczęście, nawet jeśli miał je dzielić z kimś innym...

Misinka nic nie odpowiedziała i zaraz po słowach Krzysztofa odwróciła się do niego plecami, ale wcześniejsza głęboka cisza po jej stronie łóżka kazała mu przypuszczać, że słuchała go uważnie. O tym, że rzeczywiście tak było, miał się przekonać rano. Do pracy miał wyjść odrobinę później, więc jeszcze siedział nad śniadaniem, podczas gdy ona chodziła już szybko w jednym ze swoich nienaganych strojów kobiety biznesu, wrzucała do aktówki jakieś dokumenty, łykała na stojąco ostatnie krople kawy.

– To kim musiałabym zostać, by dowieść, że naprawdę cię kocham? – zapytała, odstawiając zdecydowanym ruchem filiżankę. – Calineczką? Dziewczynką z zapalkami? Nie, czekaj, już wiem – Bzową Babuleńką!

– Mówiłem o małej syrence... – mruknął Krzysztof, chociaż wiedział, że Misinka doskonale pamięta, do której z bohaterek Andersena się odwoływał, a cała wyliczanka jest prowokacją, na którą lepiej byłoby w ogóle nie odpowiadać.

– Ależ oczywiście! Małą sarenką! – wykrzyknęła z udawaną radością. – Jakież to miłe, łagodne zwierzątko! I takie śliczne ma oczy, chociaż cokolwiek bezmyślne.

Tym razem Krzysztof się nie odezwał, a Misinka chwyciła aktówkę i torebkę, po czym szybko podeszła do wyjścia z mieszkania i położyła rękę na klamce.

– A może małą idiotką?! – zapytała, na moment odwróciwszy głowę ku Krzysztofowi, a potem wyszła, z całej siły trzasnąwszy drzwiami.

Po takim wybuchu Misinki – z opóźnionym zapłonem, ale przecież wybuchu – Krzysztof intensywnie

zastanawiał się nad tym, w jaki sposób mógłby ją uspokoić i ugłaskać. Przypomniało mu się, iż od dawna wyrażała rozczarowanie faktem, że nigdy nie wybrał się z nią do jeździeckiego klubu, by popatrzeć, jak dzielnie sobie radzi z przeszkodami parcoursu. Gdy spotkali się wieczorem, ostrożnie sprowadził rozmowę na ten temat. Dał do zrozumienia, że przy najbliższej okazji mógłby jej towarzyszyć i wreszcie przekonać się, jaka z niej wspaniała amazonka. Musiała się domyślić, że nie jest to z jego strony spontaniczny przypływ zainteresowania, lecz przemyślany zabieg, ale mimo wszystko wyglądała na zadowoloną. I nie boczyła się już na niego tak bardzo.

– Jeżdżę jutro na Firanie. To zwariowana klacz, ale skacze pięknie – powiedziała kilka dni później. – Nie rozmyśliłeś się?

W toczku, bryczesach i świeżo wyczyszczonych sztylpach Misinka wyglądała bardzo bojowo. Zgrabnie usadowiła się na grzbiecie gniadej Firany i zaczęła ją rozgrzewać, jadąc stępem, a później przechodząc w kłus. Wreszcie ruszyła ku przeszkodom – przesadzała jedną za drugą, unosząc się lekko w strzemiionach i pochylając twarz ku końskiej grzywie. Co jakiś czas, po udanym skoku, przyjaźnie klepała otwartą dłońią lewy bok końskiej szyi. Siedząc samotnie na małej trybunie dla widzów, Krzysztof przyglądał się popisom Misinki i czuł mieszaninę zazdrości i zawstydenia. O jeździectwo otarł się jedynie w czasach studiów, nigdy nie nauczył się jeździć dobrze, a teraz musiał przyznać przed samym sobą, że po prostu bałby się dosiąść narowistej klaczy, jaką była Firana; jego

ciało stało się już zbyt mało elastyczne i najbardziej niewinny upadek musiałby się skończyć połamaniem kości. Przychodziło mu pogodzić się z istnieniem kolejnego pola, na którym Misinka miała nad nim bezdyskusyjną przewagę.

– I co? Fajnie było? – zapytała Misinka, gdy wróciła po odprowadzeniu Firany do stajni. – Mogłabym służyć w kawalerii?

Oczy Misinki błyszcząły, a z jej policzków nie zdążyło jeszcze zniknąć zaróżowienie, jakie przyniósł jeździecki wysiłek. Krzysztof pomyślał, że to jedna z tych chwil, w których jej uroda osiągała najpełniejszy blask, i że gdyby teraz zrobić jej dobre, portretowe zdjęcie, to mogłoby ono trafić na okładkę jakiegoś magazynu dla kobiet sukcesu.

– Super! – odpowiedział jej ulubionym słówkiem. – To było naprawdę super!

Gdy jechali do domu, powrócił między nimi nastrój, jakiego nie doświadczali od dawna. Misinka czuła, że z nową siłą stała się przedmiotem fascynacji Krzysztofa, że dostrzegł wreszcie wyraźnie jeszcze jedno jej wcielenie, którego wcześniej co najwyżej się domyślał. Krzysztof ponownie uświadamiał sobie bezmiar dzielących ich lat, ale zazdrość, której doznał, widząc Misinkę w siodle, zdążyła już wyparować, a w jej miejsce pojawiła się miła satysfakcja, jaką starzejący się mężczyzna czerpie z towarzystwa znacznie młodszej, pełnej życia kobiety.

– Jak to się stało, że zaczęłaś jeździć konno? – zapytał Krzysztof. – To nie jest najpopularniejszy ze sportów.

Misinka zerknęła na niego kątem oka, a potem przez dłuższą chwilę milczała.

– Miałam pewnie z pięć lat, gdy tata pierwszy raz posadził mnie na końskim grzbiecie... – powiedziała wreszcie, ale ton jej głosu zdradzał, że odpowiedź jest wymijająca. Na końcu języka miała najwyraźniej inne wyjaśnienie, ale z jakiegoś powodu wahała się z jego zaprezentowaniem.

Krzysztof nie zamierzał jej dociskać dalszymi pytaniami i pogrążył się w milczeniu, a po jakimś czasie ona sama podjęła urwany wątek.

– Tak naprawdę to moje obecne jeździectwo ma inne przyczyny niż wspomnienia z dzieciństwa – dodała, przełamując wewnętrzny opór. – Nie wiem tylko, czy ci się te prawdziwe przyczyny spodobają... Zresztą... Dlaczego miałabym cokolwiek ukrywać? Zawsze mówiłam prawdę, gdy rozmawialiśmy o odległych obszarach naszego życia. A po prostu nigdy mnie nie spytałeś, kto był ze mną bezpośrednio przed tobą. Tak się złożyło, że to był ktoś, kto wspaniale jeździł konno. I uważał, że ja też powinnam się nauczyć. I ja go posłuchałam.

– To ktoś z twojego klubu? – zapytał Krzysztof.

– Nie! Skądże! – zaprzeczyła żywo. – To ktoś, z kim byłam w Londynie; to tam zaczęłam jeździć, a warszawski klub załatwiłam sobie już po powrocie, niecałe półtora roku temu...

Krzysztof budował sobie w głowie chronologię, przywoływał daty i dopasowywał do nich zdarzenia. Wszystko się zgadzało: Misinka mówiła mu, że pracowała w Londynie trzy lata, od jesieni dwa tysiące

czwartego do jesieni dwa tysiące siódmego, więc teraz, wczesną wiosną dwa tysiące dziewiątego roku, mijają półtora roku od jej powrotu do Warszawy; znalezienie jeździeckiego klubu musiało być jedną z pierwszych spraw, jakie załatwiła po powrocie.

– Byłaś z nim do samego końca pobytu w Londynie? – zapytał.

– Nawet dłużej – westchnęła. – Nie dało się tego tak od razu przeciąć. Spotkaliśmy się jeszcze kilka razy. Ostatni weekend spędziliśmy w Dubaju w kwietniu zeszłego roku. A miesiąc później wpadłam na ciebie w tym ekspresie z Gdańska. Wtedy przestałam odbierać jego telefony. W gruncie rzeczy to ty pozwoliłeś mi uwolnić się ostatecznie od tamtej historii...

Przez krótką chwilę Krzysztof zastanawiał się, czy Misinka go nie okłamuje, czy „tamta historia” – jak ją nazwała – rzeczywiście dobiegła końca z chwilą ich spotkania. W piątki, soboty i niedzielne przedpołudnia na ogół nie było go w Warszawie, a to dawało jej wystarczająco dużo czasu, by umówić się z kimś innym. „Jesteś zazdrosny?” – zapytał sam siebie i musiał samemu sobie udzielić odpowiedzi twierdzącej. Był bardzo zazdrosny.

– Jesteś zły? – zapytała, a nie usłyszawszy odpowiedzi i napotkawszy jedynie jego przenikliwe spojrzenie, szybko pociągnęła swoją wypowiedź dalej: – Najśmieszniejsze jest to, że tamta historia też w jakiś sposób wiąże się z tobą. Wracając z tej koszmarniej wyprawy na Bali, zaraz po tym, jak nie raczyłeś mnie dostrzec, dostałam miejsce w samolocie obok kogoś, kto też uczestniczył w naszej konferencji

i po jej zakończeniu leciał do Londynu. Nawiązaliśmy rozmowę i wkrótce się przekonałam, że to bardzo inteligentny, wrażliwy człowiek. Gadaliśmy przez ten cały długi lot... Tak to się zaczęło... – Zamilkła, zagłębiwszy się we wspomnienia, i dopiero po dłuższej chwili podjęła opowiadanie: – W londyńskim City działa sporo islamskich grup kapitałowych, które posługują się instrumentami finansowymi zgodnymi z ideą szariatu. Przynajmniej o certyfikatach *sukuk* coś musiało ci się obić o uszy. Albo o obligacjach *muqaradah*. Cały kłopot w tym, że te islamskie instrumenty czasami trudno jest dopasować do europejskiego prawa. Można to zrobić, ale umowy muszą być bardzo dokładne, niezwykle precyzyjnie określać prawa i obowiązki stron. Zwłaszcza brytyjski porządek prawny, to, co się nazywa *common law*, stwarza w tym zakresie ciekawe możliwości. No a Naif najpierw skończył prawo w Rijadzie, a później zrobił jeszcze doktorat w Oxfordzie. I świetnie się poruszał po tym delikatnym, prawnym gruncie...

– Był Arabem? – zapytał Krzysztof.

– Saudyjczykiem. Pochodził z jednej spośród najbardziej wpływowych saudyjskich rodzin, jednej z tych, które jakoś są spowinowacane z domem królewskim.

– Ustosunkowany starszy pan?

– Był ode mnie o prawie sześć lat młodszy. Kiedy się poznaliśmy, miałam skończone trzydzieści dwa lata, a on dopiero za kilka miesięcy miał skończyć dwadzieścia siedem. W jego kraju, zwłaszcza w tych środowiskach, w których się obracał, jazda konna jest

traktowana w zupełnie specjalny sposób, to coś więcej niż sport i zadawanie szyku, to raczej niezbędny składnik sposobu bycia. Więc Naif od dziecka ćwiczył pod okiem najlepszych trenerów. A w Londynie też miał swój klub jeździecki i zdołał mnie do niego wciągnąć.

– Zaraz po naszej pierwszej nocy, wtedy, gdy poszłaś do pracy, a ja zostałem sam w twoim mieszkaniu, trafiłem obok łóżka na podręcznik do nauki języka arabskiego i stary numer „Foreign Affairs” z zastanawiającymi podkreśleniami – powiedział Krzysztof. – I pomyślałem sobie wtedy, że ocieram się o jakąś historię z twojego życia. Miałem cię nawet o to zagadnąć, ale później wyleciało mi to z głowy...

– No tak, to były ślady zostawione w moim życiu przez Naifa... – potwierdziła Misinka.

Pograżyli się oddzielnie we własnych myślach i do końca drogi na Powiśle właściwie już się do siebie nie odzywali. Tylko w jednym momencie, gdy cisza w samochodzie zaczęła być przytłaczająca, Krzysztof spróbował ją przerwać, mówiąc, iż na Bali zwrócił uwagę na całkiem sporą grupę mężczyzn w diszdaszach i białych chustach, ghutrach, utrzymywanych na głowie przez czarne krążki agali. Wymienił poszczególne elementy ich stroju, by dowieść, że są mu znane, a także po to, by chociaż trochę przedłużyć wypowiedź. Ale Misinka odparła, że Naif do pracy i na międzynarodowe konferencje chodził zawsze w garniturach od najlepszych londyńskich krawców, a strój arabski uważał za stosowny jedynie przy nadzwyczajnych okazjach w ojczyźnie i na uroczystościach rodzinnych. Więc na pewno nie było go w tej grupie, którą dostrzegł

Krzysztof. I po tym wyjaśnieniu znowu zapadło między nimi milczenie.

W domu rozmowa też nie bardzo chciała się kleić. Przy kolacji wymieniali właściwie jedynie uwagi na temat tego, co jedzą, a każde z nich widziało, że to drugie jest trochę nieobecne, że z terażniejszości przeniosło się do czasów minionych albo skupiło się wyłącznie na własnych sprawach, które nie dotyczyły tego, co zwykli uważać za wspólne. A przecież gdy później znaleźli się w łóżku, z ogromną siłą owładnęło nimi wzajemne przyciąganie. Instynkt podpowiadała Misince, że po tym wszystkim, co opowiedziała dziś Krzysztofowi, powinna, a może nawet musi, ofiarować mu doznania, które dowiodą, że to on zajął wszystkie miejsca w jej myślach i ciele. Krzysztof, wypełniony mieszaniną pożądania i gniewu, pragnął zetrzeć z erotycznej pamięci Misinki każdy ślad młodego, wysportowanego i zapewne pięknego poprzednika, a w jakimś czasie być może nawet rywala. Takie połączenie emocji sprawiło, że czerpali z siebie gwałtowniej niż kiedykolwiek dotąd, a delikatność i czułość, jakie towarzyszyły zwykle ich zbliżeniom, ustąpiły miejsca brutalności. Ale nie zredukowało to przeżywanej rozkoszy. Może nawet ją wzmogło. Misinka nigdy nie mówiła Krzysztofowi o tym, co czuje, kiedy uprawiają seks; jeśli chciała okazać, że było jej szczególnie dobrze, tuż po spełnieniu zasłaniała twarz poduszką. Może i kryła się w tym odrobina prawdziwego zakłopotania, towarzyszącego pełnemu ujawnieniu własnej seksualności. Ale z pewnością bardziej miało to żartobliwie wyrażać zawstydzenie, że posunęła się

aż tak daleko, było udawaniem skromnisi, która sama zdumiewa się przekroczeniem przyzwoitych granic. Zresztą niemal natychmiast spoza tej poduszki wyglądała, by obdarzyć Krzysztofa szerokim uśmiechem. Tak zrobiła dwukrotnie i tego wieczora, a zaraz potem oboje zapadli w sen.

Trzy lub cztery dni później okazało się, że opowieść o młodym jeźdźcu z Arabii Saudyjskiej ma, prócz hippicznego, także inne istotne wątki, do których przedstawienia Misinka przystąpiła z pewnym opóźnieniem. Raz uchyliwszy rąbka tajemnicy swoich losów w przededniu spotkania z Krzysztofem w warszawskim ekspresie, nie mogła się już powstrzymać przed poszerzaniem obrazu o kolejne szczegóły.

– Naif, w przeciwieństwie do ciebie, nie traktował mnie jak maskotki – powiedziała przy jednej z kolejnych kolacji. – Bardzo chciał się ze mną ożenić.

– Miałaś być pierwszą z jego żon? Czy może już drugą lub trzecią? – zapytał Krzysztof, doznając przyływu złośliwej satysfakcji. Niemal natychmiast poczuł wyrzuty sumienia, jakie towarzyszą zadawaniu nieczystych ciosów, ale od razu znalazł też dla siebie usprawiedliwienie: Misinka sama sobie zawiniła, robiąc prowokacyjne porównania.

– Cha! Cha! Cha! Znakomity dowcip! – odcięła się Misinka.

Na dłuższą chwilę zapadła cisza.

– Przepraszam – powiedział wreszcie Krzysztof – ale trochę mnie sprowokowałaś...

– W Arabii Saudyjskiej wielożeństwo jest możliwe z punktu widzenia prawa cywilnego i stanowi

akceptowaną społecznie praktykę, ale to wcale nie znaczy, że jest powszechne – powiedziała bardzo poważnym głosem Misinka; widać było, że mówi o czymś, nad czym nie raz, nie dwa razy się zastanawiała i co zdążyło przybrać w jej głowie kształt gotowych formuł. – Rodzice Naifa byli parą w bardzo europejskim stylu. A on chciał, żebym była jego pierwszą i jedyłą żoną. Byłam też jego pierwszą kobietą... – dodała ciszej.

Zaskoczenie tak wyraźnie odbiło się na twarzy Krzysztofa, że Misinka nie mogła go nie dostrzec.

– Krzysieńku! – westchnęła ciężko, z wyrzutem. – Pomyśl chwilę: zupełnie inna kultura, a w ramach tej kultury bardzo specyficzne, konserwatywne, zamknięte środowisko. Przed spotkaniem ze mną w pobliżu Naifa po prostu nie znalazł się nikt, z kim mógłby pójść do łóżka... Poza tym możesz mi wierzyć lub nie, ale on też był w sprawach męsko-damskich okropnym idealistą. Opowiadałeś mi kiedyś o sobie z czasów młodości, o tych rozmowach w twojej męskiej szkole i o tym, że chciałeś wówczas czegoś więcej, niż kogoś po prostu wyruchać, a ja pomyślałam, że tych czterdzieści lat temu byłeś pewnie do Naifa bardzo podobny. Chociaż wtedy nie mogłam ci jeszcze o tym powiedzieć...

– No a ty? – zapytał Krzysztof. – Chciałaś za niego wyjść?

– Był taki moment, że bardzo poważnie to rozważałam...

– Więc?

– Jego rodzice... czy raczej cała jego rodzina... nie byli w stanie mnie zaakceptować. Naif zaczął mówić

o małżeństwie już w pierwszym roku naszego związku, ale potrzebował jeszcze kilku miesięcy, by zdobyć się na odwagę, polecieć do Rijadu i opowiedzieć o mnie rodzicom. I potem wszystko potoczyło się bardzo szybko. Do Londynu przyleciał najstarszy z jego czterech braci. Zadzwonił i zaprosił mnie na lunch. Sądziłam, że przybywa jako rodzinny wysłannik, że w ten sposób, jego oczyma, chcą mnie zobaczyć i trochę poznać. Ale on od razu przystąpił do rzeczy: Naif jest jeszcze bardzo młody, a w jego ojczyźnie istnieją rozległe plany dotyczące jego osoby. Powinłam zrozumieć, że stanowiłabym dla niego przeszkodę w rozpoczynającej się karierze i wielkie obciążenie w całym dalszym życiu. Więc on sugerowałby... Złożyłam starannie moją serwetkę, odłożyłam ją na stół, wstałam i bez słowa obróciłam się na pięcie; nie musiałam tego dalej słuchać. Takie zachowanie przyszło mi tym łatwiej, że tego najstarszego brata od pierwszej chwili znieubiłam. Dzieliło go pewnie z Naifem jakichś piętnaście lat, mógł być tuż po czterdziestce. Na pierwszy rzut oka byli do siebie podobni – ten sam wspaniały angielski, znakomity garnitur, te same nienaganne maniere. Ale jako człowiek był jego kompletnym zaprzeczeniem; w duchu nazwałam go Wielkim Uprzejmym Chamem. No wiesz, taki typ, który traktuje cię z wyszukaną grzecznością, ale ty czujesz, że to tylko gra, bo naprawdę znaczysz dla niego mniej niż wczorajsza gazeta. Nie powiedział tego wprost, ale przede wszystkim byłam dla niego kobietą innej wiary, starszą od jego brata, rozwódką, a z jego saudyjskiej perspektywy – po prostu nędzarką. Poza tym nic się nie liczyło...

– I co na to Naif? – pytaniem przerwał jej Krzysztof, chociaż właściwie sam zaczął się już domyślać odpowiedzi.

– Kiedy spotkaliśmy się godzinę czy dwie później, był kompletnie przerażony; jeszcze nigdy nikt nie potraktował w ten sposób jego najstarszego brata! Powiedziała, że to bez znaczenia, bo rodzina i tak nie pozwoliłaby mu na małżeństwo ze mną. Zaczął wykrzykiwać, że niepotrzebna mu ich łaska, że potrafi sam nas utrzymać, że ma prawo do życia według własnego planu i prawo do szczęścia. Był tak wzburzony, że mieszał arabski z angielskim, bardziej mówił chyba to wszystko do siebie niż do mnie. A potem po prostu się rozplakał. Co mogłam zrobić? Przytuliłam tego mojego delikatnego, bezradnego chłopca. Bo w tamtym momencie w pełni zdałam sobie sprawę, że to wciąż jeszcze chłopiec – uroczy, ale chłopiec, a nie mężczyzna. A jego rodzina działała błyskawicznie. Ten islamski fundusz, dla którego pracował, to były w gruncie rzeczy prywatne pieniądze jakichś jego niezliczonych wujów i kuzynów, którzy o wszystkim zdecydowali gdzieś z góry i którzy już kilka dni później wydali mu polecenie przeniesienia się do ich filii w Zurychu. Ale szybko doszli do wniosku, że stamtąd wciąż ma za blisko do mnie i po kolejnych dwóch miesiącach przenieśli go do filii w Dubaju. To dlatego właśnie tam spotkaliśmy się w kwietniu zeszłego roku...

– Czyli nadal się z nim spotykałaś... – mruknął Krzysztof.

– No tak, przecież ci powiedziałam. Błagał o to, więc widywaliśmy się jeszcze, w sumie kilka razy – dwa czy

trzy w Szwajcarii, potem, kiedy już wróciłam na stałe do Warszawy, raz wyznaczyliśmy sobie *rendez-vous* w Paryżu, a na końcu był jeszcze ten Dubaj. Nie miałam nikogo innego, a poza tym... – Zawahała się i lekko zaczerwieniła. – Może to dziwnie zabrzmie, ale to Naif okazał się tym pierwszym, z którym było mi naprawdę dobrze w łóżku. Przekroczyłam trzydziestkę, miałam za sobą małżeństwo i inne związki, ale dopiero przy tym chłopaku dowiedziałam się, jak smakuje seks.

– Na pewno bardzo cię pragnął – powiedział Krzysztof i z goryczą pomyślał, że dwa udane stosunki pod rząd mogą się wydawać mistrzowskim osiągnięciem mężczyźnie po sześćdziesiątce, ale dla dwudziestosiedmiolatka, którego wrażliwość nie została zepsuta przez wcześniejsze doświadczenia, była to pewnie co najwyżej rozgrzewka. Zaraz potem skreślił myślami ku swojemu synowi, który przecież był rówieśnikiem Naifa. Co by się stało, gdyby Maciek przyszedł do niego i powiedział, że chce się ożenić z Kenijką albo Nigeryjką, sześć lat starszą od niego, rozwódką, niezbyt zamożną? Jeśliby widział, że w tym małżeństwie tkwi synowski klucz do szczęścia, z całą pewnością nie próbowałby mu przeciwdziałać. Ale czy byłby przekonany, że taki związek rzeczywiście się uda? Byłby zresztą w łatwiejszej sytuacji niż ojciec Naifa także dlatego, że jego życie rodzinne nie przenikało się z funkcjonowaniem wielkich finansów.

I tym razem wspomnianie niedawnych przeżyć Misinki podziało na nich jak zaaplikowany obojgu afrodyzjak. Może nawet dawka uległa zwiększeniu, bo Krzysztof przekonał się ku własnemu zaskoczeniu, że

w jeden wieczór może skłonić Misinkę do trzykrotnego schowania się za poduszką.

– Chyba nie muszę cię zapewniać, że mi z tobą naprawdę dobrze? – zapytała. – Tak się złożyło, że jesteś drugim, a nie pierwszym mężczyzną, któremu mogę to powiedzieć, ale przecież chyba najważniejsze, że rzeczywiście tak jest.

– Dzięki! – roześmiał się Krzysztof. – W moim wieku współzawodnictwo erotyczne z dwudziestoparolatkiem jest przedsięwzięciem cokolwiek stresującym. Bardzo mnie podniosłaś na duchu.

A Misinkę ogarnęło nagle pragnienie, by dalej drążyć temat. Jeśli Krzysztof usłyszał od niej tak wiele, to przecież i on mógł się z nią podzielić własnymi przemyśleniami w tej delikatnej materii. Miała świadomość, że nurtująca ją ciekawość zawiera szczyptę masochizmu, ale równocześnie coś ją kusilo, by jeszcze trochę przesunąć granice wzajemnego poznania.

– A ty? – spytała ostrożnie.

– Co ja? – odpowiedział równie krótkim pytaniem Krzysztof.

– Wolisz być ze mną niż z innymi kobietami?

– Przecież jestem z tobą.

To nie całkiem była taka odpowiedź, jaką Misinka pragnęła usłyszeć; Krzysztof, swoim starym zwyczajem, wymykał się z zastawionej nań pułapki. Jak ją naprawdę oceniał? Co czuł i myślał? Na ile wciąż było dla niego ważne to wszystko, co przeżył, zanim ją spotkał? Poprzez słowa, które w końcu z siebie wyrzucał, nadal wolał kierować ją w mgłę domysłów niż ku poczuciu pewności.

– Przecież gdybym wyznawała twarde zasady, które nie pozwoliłyby mi na rozwód ani na zdradzanie męża, mogłabym się nigdy nie dowiedzieć, co mogę przeżyć z mężczyzną – po dłuższym milczeniu Misinka podjęła jeszcze jedną próbę. – Nie uważasz, że tkwi w tym jakiś paradoks?

– Może wtedy wcale nie nękałyby cię takie pytania... – mruknął Krzysztof. – Mam na ten temat swoją teorię.

– Super! Powiedz jaką! – zareagowała żywo. – Uwielbiam wszystkie pańskie teorie, profesorze Merst, nie tylko te na temat funkcjonowania rynków finansowych.

– Seks ma ogromną siłę przyciągania, również w przypadku par, które nie są dobrane pod żadnym względem – powiedział Krzysztof. – Jeśli tylko nikt w takiej parze nie uświadomi sobie, jak wielkim jest ona nieporozumieniem, nawet najmarniejszy seks może ją trzymać w kupie całkiem długo. Jak sądzisz, dlaczego religie, które niosą w sobie mądrość ludów, a na wysokim miejscu stawiają trwałość rodzin, dzięki której z kolei ma być zagwarantowana opieka nad potomstwem, tak wielką wagę przywiązują równocześnie do zakazu seksu przedmałżeńskiego i cudzołóstwa?

– Żeby uniemożliwić ludziom dokonywanie porównań? – niemal natychmiast domyśliła się Misinka.

– Widzisz! Wystarczy cię odrobinę naprowadzić i sama dochodzisz do właściwych wniosków – ucieszył się Krzysztof. – A teraz pozwól, że już zasnę. Oczy mi się kleją.

Po chwili Krzysztof pochrapywał lekko, ale Misinka tym razem nie zdołała zapaść w sen w tym samym, co on, momencie. Poprzez mrok przyglądała się zarysowi twarzy Krzysztofa i raz jeszcze rozważała wszystkie wątki ich rozmowy. Powiedzieli sobie sporo ważnych rzeczy, ale nie zdołali się zbliżyć do tej najważniejszej, którą zamierzała poruszyć. Postanowiła odłożyć to na później.